

Mroczków Gościnny, mój azyl, raj i piekło

20 października 2017

Jest takie miejsce na ziemi, do którego wracam zawsze wspomnieniami. To miejsce stanowi syntezę dzieciństwa mego i wieku dojrzałego, zabawy i radości, smutku, żalu, i tęsknoty za tym, co minęło, a już nie powróci. To po prostu mój azyl, moja przestrzeń pełna magii, idylla, raj..., a zarazem piekło – to pustka, a dziś wyobcowanie.



Jest takie miejsce na ziemi, do którego wracam zawsze wspomnieniami. To miejsce stanowi syntezę dzieciństwa mego i wieku dojrzałego, zabawy i radości, smutku, żalu, i tęsknoty za tym, co minęło, a już nie powróci. To po prostu mój azyl, moja przestrzeń pełna magii, idylla, raj..., a zarazem piekło – to pustka, a dziś wyobcowanie. To było początkowo moje „małe okno na świat”. Okno przez które, jako dziecko widziałem wszystko w pięknych barwach. Świat wydawał się bliski, przyjazny, swojski i piękny. Ten mój świat..., świat w rzeczywistości niewielki, był dla kilkuletniego chłopca, jakże duży i ważny. To była kraina wymarzona, wyśniona – Arkadia. Istniała ona zatem w zasięgu ręki dziecka, a więc była beztrioska i jakże cudowna. Ten sielski nastrój nie trwał

jednak wiecznie. Z czasem moje okno na świat zamazywało się. Widziałem przez nie tylko szarości. Aż zupełnie moje „okno” stało się w istocie niewidoczne – wręcz spękane.

Mroczków Gościnny – to o nim mowa, rodzinne strony, mała wieś leżąca nieopodal Opoczna. Cóż za sprzeczna nazwa?

Mroczków, bo tajemniczy, mroczny, straszny; Gościnny – bowiem przyjazny, radosny, biesiadny.

Czy to prawda? – zadaję pytanie – a może jest inny...?

DRUGA POŁOWA LAT 1970.

Po raz pierwszy zostałem tutaj przywieziony mając roczek. Prawdopodobnie już wtenczas musiałem odczuwać specyfikę i urok tego miejsca – jego magię i piękno. Nie płakałem, byłem spokojny – wiem to z opowieści mych rodziców. Tak, co roku do pewnego czasu, w wakacje tu gościłem, z mamą i z tatą – u wujostwa, a co najważniejsze u Mojej Prababci. Czym byłem starszy, tym lepiej poznawałem tą przestrzeń, rzeczywistość dnia codziennego wsi – poprzez dotyk, węch, smak, wzrok i słuch.

CZERWIEC-SIERPIEŃ ROKU 1985

Zbliżają się kolejne wakacje – mimo, iż mam wyjechać na kolonie, następnie z rodzicami nad morze, nie jestem jednak tym faktem tak uradowany – jak przyjazdem na „moją wieś”. Trudno mi czekać daty wyjazdu..., aż wreszcie nadszedł ten dzień, tak długo oczekiwany.

Przejazd koleją to sama frajda dla dziecka. Nareszcie, z głównej drogi (która prowadzi z Opoczna) skręcam w prawo, do gospodarstwa rodziny.

Po lewej i prawej stronie liczne grusze, jabłonie, śliwy; tam dalej czereśnia, tuż za nią wiśnia. Poniżej krzaki agrestu, porzeczek, a tuż nad ziemią owocujące truskawki. Obok jest ogród warzywny i kwietnik. Na prawo natomiast zielona,

soczysta kolorem trawa, pasą się tu owce i jagnięta. Poprzez korony drzew, słońce przebija się promieniami ku ziemi – pragnie ją mocno ogrzać, lecz nie pozwala mu na to wiatr, który hasa i schładza ogród, niczym kostka lodu – rozgrzany granit.

Dochodzę już do domu, ale nie tego – zbudowanego z pustaka, ukrywającego się zaraz za ogrodem. Jakże on nie pasuje swym wyglądem do tutejszego otoczenia, jaki on szary, zimny i brzydki! Za nim – podłużna, drewniana chałupa – chatka z lat 30. minionego wieku (1932 – data widniała nad głównym wejściem do domu). Co roku jest odświeżana, to znaczy poddawana procesowi wapnowania. Jasna, parterowa, z dachem dwuspadowym, pokrytym papą (wcześniej dach był pokryty słomą), kominem i małymi okienkami. W jednym z nich – w kuchence – Prababcia zawsze wypatrująca, wyglądająca podróżnych (fot. 1). Wspaniały widok! Drobnej postury, zmęczona wiekiem, ale zawsze radosna odwiedzinami. Dotykam Ją swymi małymi rękoma. Jest taka delikatna. Każda zmarszczka mówi mi o Jej dość trudnym życiu.

Dom podzielony został na dwie izby: po lewo – czarną (kuchnia) i białą (izba reprezentacyjna) – większą, naprzeciw izby czarnej. W kuchni – stał piec z zapieckiem, obok ławka; przy oknie znajdował się okrągły stół z czterema krzesłami, vis á vis kredens z naczyniami, ponadto, dwa duże łóżka drewniane, wyściełane słomą, na nich pierzyny i poduchy pięknie obszyte. Było tu też wiadro z wodą, miska, a na ścianie przy piecu, wisiały różne sprzęty kuchenne. Naprzeciw nich (pomiędzy łóżkami) stał stolik (maszyna do szycia) z radiem; na ścianach powieszone były liczne obrazy świętych i zegar odmierzający nieubłagane biegnący czas. Na belce u sufitu wisiała lampa. Zaś na parapetach okiennych w doniczkach rosły kwiaty. Należy dodać jeszcze to, iż podłoga w tej izbie była drewniana.

Lubiłem chować się za piecem w kuchni. Był zawsze ciepłutki. W tej izbie (czarnej) na piecu Prababcia przygotowywała zawsze różne, smaczne, choć skromne potrawy kuchni regionalnej (opoczyńskiej). Ot, to cała kuchenka. Cóż za ascetyczne

miejsce!

Izbę czarną od białej oddzielała sień, w której stał piec chlebowy – naprzeciw drzwi wejściowych. Pamiętam, to w nim Babunia wypiekała dorodne bochny chleba. Były pyszne, szczególnie ich skórka oprószone mąką prosto z młyna. W sieni również było wejście na strych (dostawiało się drabinę).

Następnie przez sień wchodzę niezbyt wysoką futryną do drugiej izby (reprezentacyjnej) – pokoju. Izba wydaje się ciemniejsza, są tu tylko dwa małe okienka (w przeciwieństwie do kuchenki, gdzie były trzy), przez które zaglądamy gałęzie drzew. Wstępując do niej (izby białej), widzę na pierwszym planie stolik pod ścianą, nakryty lśniąco białym obrusem – na nim ołtarzyk – w centrum figura Matki Boskiej, po bokach inni Święci; obok papierowe kwiaty w wazonach i świece. Blisko tego szczególnego miejsca (po lewo) – stoi pięknie dekorowany i okuty kufer (skrzynia) do przechowywania ubrań, po bokach zaś dwa drewniane łóżka (również wyściełane słomą); ponadto obok jednego z nich (z lewej strony) znajduje się duża, także drewniana, stara szafa, skrzypiąca podczas otwierania. Po lewo, od wejścia jest też piec (który nie był używany) oraz po prawej stronie, przy oknie – ławka pod ścianą. Na ścianach wiszą również liczne obrazy świętych. Pamiętam też to, iż po prawo, przy wejściu do tej izby, na ścianie zawieszone było także lustro. U sufitu z belkami znajdowała się lampa. Na podłodze z drewnianych desek (tuż przy piecu było zejście do piwnicy, gdzie trzymano między innymi ziemniaki), były zaś rozłożone pasiaki. Oprócz tych wszystkich sprzętów domowych można było dostrzec dekoracje z bibuły, pająki i kwiaty (podobnie jak w kuchni) na parapetach okiennych.

Na zewnątrz, tuż przy domku, Prababcia miała mały ogródek kwiatowy. Wącham nieznane mi jeszcze w większości kwiaty. Zapach ich unosi się naokoło. Dominują kolory żółci, czerwieni i fioletu. Jedne kwiaty są wyższe, pną się dumnie do słońca, jak np. malwy, drugie zaś – niskie i drobne zarazem. W pobliżu znajduje się studnia, a niedaleko niej rośnie duży kasztan

(generalnie w zagrodzie rosły pojedyncze drzewa). Naokoło duże podwórkó ogródkowane jest drewnianym płotem – naprzeciwko domu Babci jest drewniana stodoła, obok obora, stajnia, chlew wraz z komórką i innymi pomieszczeniami gospodarczymi. Za nimi mały las (o drzewostanie głównie iglastym) „na górcę”, w którym zawsze rośnie mnóstwo grzybów (głównie zajączków). Za tym „niewielkim laskiem” pola słaniają się ku wijącej dolince małego strumyka, zarośniętego drzewami, krzakami i zaroślami (wcześniej jednak pola i łąki przedziela droga, prowadząca do wsi Mroczków Ślepy – obecnie zwany Mroczkowem Dużym) . W dole (za wspomnianą drogą) dostrzegam również drewniany kościółek (z czasem pobudowany z tutejszego kamienia – skały), za którym hen ciągnie się duży las.

Na podwórzu liczna zwierzyna. Nasłuchuję ich, a więc: kur i kurcząt, kaczek i małych kaczuszek, gęsi, indyk, i perliczek, ponadto kilku ujadających psów, tudzież kotów wylegujących się na słońcu. U wodopoju (przy oborze) stoją cztery dorosłe krowy, dwa cielaki; w małej stajni – koń i źrebię wyglądające przez wrota. W chlewie słychać również pokwikowania licznych świń i prosiąt (warchlaków), ponadto tuż obok, beczenie baranów i małych owieczek (jagniąt). W klatkach na podwórzu dostrzegam kilka króli. W kurniku zaś część kur siedzi na grzędach, bądź wysiaduje jaja.

Prawdziwa sielanka naokoło, aż dech w piersi zatyka.

Wieczór, wspólna kolacja przy jednym stole – pajda chleba pieczonego domowym sposobem, ser, mleko, następnie drożdżowiec – pycha! Smaku i zapachu takiego chleba nigdy wcześniej nie znałem. Pamiętam – skórka na chlebie była mocno wypieczona. Przed rozkrojeniem chleba Babunia robiła na nim znak krzyża. Wtenczas tego nie rozumiałem. Dziś już wiem. Nasz Chleb Powszedni jest największym obok miłości darem od Boga. Należy Go szanować i dzielić tak, by nigdy nikomu Go nie zabrakło.

Wieczorna kąpiel w letniej wodzie – w wodzie ze studni; pacierz i hop do łóżka! Jakże ja nie lubię spać na tych

łózkach wyściełanych słomą – to coś w bok mnie uwiera, to znów mi twardo, niewygodnie...

Wreszcie lampy gasną, wydaje się, jakby życie miało za moment opuścić progi tego domu, lecz nie – nie wszyscy szykują się do snu, ono dopiero się zaczyna – tak – dla korników. Świetna sprawa. Raz z lewej strony słychać skrobanie, to znów z prawej. Tak, praca wre, prędej, czym prędej – kolejny korytarz gotów. I tak do świtu!

Wczesny ranek. Słyszę – kogut pieje. Oznajmia, że dzień się zaczyna. Śniadanie, zabawa na podwórzu pośród ptactwa. W końcu praca jakże dla mnie wówczas ważna – wyprowadzenie krów, cielaków, także jagniąt, owiec i baranów na Jesionkę, to znaczy na łąkę, tuż za gospodarstwem (niedaleko kościoła). Następnie pomoc w polu – wiązę snopki zboża i pomagam je nakładać na wóz. Trudno mi je nałożyć, jestem jeszcze mały, a wóz za wysoki.

– Bęc, bęc – to baran mnie bodnął – ile przy tym mego pisku i krzyku. Uciekam. Mama z ciocią mają moc radości. Słyszę syczenie – to gęś mnie goni, to znów pies za spodnie ciągnie.

Ach sama frajda. Cóż więcej trzeba mi do szczęścia?

Wiem – tego, co jeszcze przede mną – jazda na wozie załadowanym zbożem, a pod wieczór pieczenie ziemniaków w ognisku.

Cóż, gdyby ktoś się mnie wówczas zapytał, gdzie znajduje się raj, odpowiedziałbym bez wahania – tutaj. Tak, tutaj na ziemi, w Mroczkowie Gościnnym, gdzie beztroska zabawa miesza się ze spontaniczną radością. Urok tego miejsca, jego czar – czar Edenu, miałem, na co dzień przez te kilka dni każdego roku.

Wczesny poranek następnego dnia.

Wybrałem się z kuzynostwem na grzybobranie do pobliskiego lasu. Około południa już wracam z pełnym wiaderkiem wszelkiej

maści grzybów: maślaków, podgrzybków, zajaczków, gdzieś tam borowik i krawiec. Uwielbiałem chodzić do lasu i zbierać jego „owoce”. Grzybobranie stanowiło dla mnie pewien rytuał. Już dzień wcześniej oczekiwałem wyjścia, przygotowywałem się, myślałem i dumałem – ileż to nazbieram grzybów? Spać nie mogłem. Ach...

Coś się dzieje – niepokój, szum, zabierają moją mamusię! Gdzie? Po co? Dlaczego? Nie wiem... Uciekam do komórki tego brzydkiego, murowanego domu, chowam się, płaczę, krzyczę – wyglądam przez okno – a ona odjeżdża szybko samochodem. Dlaczego, dlaczego? Łza przesłania mi radość!

Po kilku dniach już wiem – gdzie i dlaczego mamusię zabrano. Do szpitala w Opocznie, bowiem przyszedł nagle czas na rozwiązanie. Urodził mi się braciszek. Cudownie! Odwiedzałem ich codziennie w szpitalu. Braciszek był taki malutki i płakał... Zapamiętałem to jeszcze, iż miał bardzo ciemne włoski...

Po wypisaniu mamy ze szpitala wraz z całą rodziną wróciliśmy do Łodzi. Nie zajechaliśmy już do Mroczkowa Gościnnego. Prababcia nie miała możliwości ujrzeć swego kolejnego prawnuka. Szkoda. W następne wakacje na pewno odwiedzimy Ją z braciszkiem!

WAKACJE SIĘ SKOŃCZYŁY, RÓWNIEŻ ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA – JEST 23 STYCZNIA 1986 ROKU

Ponownie jesteśmy w Mroczkowie. Z lewej i prawej strony szare kikuty jabłoni, śliw, grusz, tam dalej czereśni, tuż za nią wiśni. Ziemi nie okrył śnieg, mróz jednak mocno trzyma. Wszędzie ponuro. Tu i ówdzie tylko cisza gra swą mroczną i smętną muzykę... Pewien niepokój daje się wyczuć. Wchodzę na podwórko – widzę liczne grono ludzi smutnych, zatroskanych i zapłakanych. Chatka Prababci – druga izba (biała – pokój) – na jej środku stoi trumna, a w niej leży Ona – Kochana (przeżyła 86 lat). Tuż obok świece, kwiaty i ludzie: rodzina ta bliższa i dalsza, przyjaciele, sąsiedzi.

W powietrzu unosi się śpiew żałobny, płacz i smutek. Wszystko spowolniało, wydaje mi się jakby to był film w zwolnionym tempie, bezruch. Zegar ścienny, ten drewniany zegar w kuchence – już nie odmierza czasu – przestał chodzić. Zamarł wraz z utratą Pani swojej.

Żegnam się z Nią, łez nie ukrywam – płaczę, bo czuję pustkę po śmierci Babuni – przecież Ważnej Persony tego miejsca! Wówczas jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że już tu nie będzie tak, jak było dotychczas.

MINĘŁO KILKA KOLEJNYCH LAT...

Chatka – nie, to już nie ta sama chatka – to chata. Zamieniona na kurnik, komórkę, w której trzyma się ziarno i wełnę owczą oraz inne rzeczy. Meble z niej w większości wywieziono. Pozostała między innymi duża, skrzypiąca szafa. Bród, pajęczyny, jeszcze gdzieś niegdyś poniewierają się pamiątki po świętej pamięci Prababci.

Wspominam dom, każdy jego szczegół z lat minionych, jednocześnie lustruję z chwilą obecną, z chwilą teraźniejszą. I nic nie mogę rozpoznać! Wszystko zamazane, jakieś obce, jakieś nieme. Coś mnie ściska w gardle, śliny nie potrafię przełknąć.

Jak można było tak postąpić z tym domem, nie uszanować tego miejsca, które przesiąknięte zostało na wskroś historią? Miejsce, które pamiętało radość, a także trudne chwile, w tym smutek. Jak można było? Pyta się moja dusza i zarazem rozdziera. To wypływa z jej głębi. Nie uzyskuję odpowiedzi – cisza. Jedynie czuję, tak czuję – wstręt do kilku osób. Zabieram ze sobą kilka poniewierających się pamiątek po Babuni i szybko opuszczam wraz z młodszym bratem progi tego domu. Szkoda, że Danielek nie miał możliwości poznania Prababci oraz ciepła rodzinnego tego domu.

Podwórko również traciło na uroku. Skończyły się także wakacyjne przyjazdy, a miejsce to, z roku na rok, stawało mi

się coraz bardziej nieznane, ponure, szare. Zmieniało swój wyraz z oazy szczęśliwości w oblicze mrocznej przestrzeni, w której z każdego kąta powoli uchodzić zaczęło życie – gdzieś daleko, w nieznane mi strony.

LATA 1990.

Najmłodszy syn Prababci (mieszkający obok Babcinej chatki w domu murowanym) z pomocą innych osób rozebrał niszczącą chałupę. Żal i smutek ogarnął ponownie serce. Pamiątka, jaka mi pozostała po Prababci, to pamięć o Niej, tym domu i wizje Jej w mych myślach. To przecież najlepsza pamiątka, której nikt nie jest w stanie mi odebrać.

Koniec XX wieku

Obecnie przyjazdy do Mroczkowa Gościnnego, a tym samym odwiedziny kuzynostwa, to już sporadyczność. Ponownie przechodzę przez ogród, który praktycznie dziś trudno tak nazwać. Drzewostan silnie przetrzebiony – tu brak gruszy, jabłoni, a tam dalej czereśni. Truskawki zarosły trawą, brak kwiatów (rośnie trochę warzyw); owce i barany już się nie pasą, bowiem po prostu ich nie ma.

Za ogrodem, po lewej stronie ten murowany (z pustaka), szary budynek równie nieprzyjazny, co sprzed lat. Za nim puste miejsca – po Babcinej chatce i ogródku. Zamazują się ostatnie ich ślady. Naokoło podwórza wznoszą się na miejscu starych (w większości) – nowe, murowane budynki gospodarcze: stodoła, obok stajnia, obora, chlew, ponadto komórki, pomieszczenia między innymi na maszyny rolnicze i garaże.

Za stodołą lasek, jakby się zmniejszył (wydaje się iż, część drzewostanu zostało wycięte), mało już dziś w nim grzybów. Podwórze zostało opasane nowym, szarym, mało efektownym ogrodzeniem. Brak gustu! Wspomniany „mur” jakby „wchodził” częściowo w ten „mały lasek na górcie”, za stodołą (wydaje się, jakby rozdzielał gospodarstwo wujostwa od sąsiadów).

Nie ma wspomnianych już owiec i baranów, króli, wszelkiego

ptactwa (jedynie kilka kur). Pozostał tylko koń, dwie krowy, także dwie świnie – oto całe gospodarstwo. I tego dziś się nie opłaca trzymać – słyszę – za wysokie koszty utrzymania, a za mały zysk. A na podwórzu generalnie jest bałagan, jak na budowie: cement, pustaki, drzewo, mało zieleni.

Smutno tu teraz, życie jakby zamarło, brak radości. Przestrzeń swego czasu tak bardzo mi bliska uległa całkowitej metamorfozie, a ja obco się tu dziś czuję. Postrzegam ją zupełnie inaczej, gdyż jestem już dorosłym człowiekiem. Pozostały jedynie wspomnienia: chatki pełnej ciepła i radości, Prababci wypatrującej gościa w okienku kuchennym, chleba własnego wypieku. Dziś z chęcią bym się już położył, choć na moment, do łóżka wysłanego słomą, zamknął oczy i posłuchał muzyki korników!

Ach te marzenia... Gdyby czas chciał się choć trochę cofnąć, odrobinę, odrobinę... Przystanąć, odpocząć, rozejrzeć się dookoła i dopiero popędzić przez łąki, przez pola. I dalej, wciąż dalej przed siebie, na wprost, na przełaj... To tylko marzenia, nic więcej!

Cieszę się, iż mogłem to wszystko przeżyć, być częścią tego miejsca – minionej przestrzeni. Przez to czuję się bogatszy wewnętrznie! Biedni ludzie, którzy magii takich miejsc nigdy nie odczuli, bądź, co gorsza – do nich się nie przyznają! Bowiem strata to ogromna, a i spustoszenie wnętrza człowieka niemałe.

To jest szczególne miejsce, zwierciadło mej radości i smutku, do którego wciąż powracam wspomnieniami, mimo upływu lat. Dziś w mej pamięci (powtarzam: dorosłego już człowieka) to „okno na świat” ma szczególny wymiar. Widzę bowiem to piękne okienko z Babunią – niewielkie, ale jakże cudowne, przesiąknięte mistycyzmem, wręcz świętością. Z drugiej strony obserwuję też „okno”, jakby strzaskane, w którym (lub przez które) już nic nie da się dostrzec. Oprócz bólu i żalu nie ma tu już nic. Serce jest rozdarte... Ach gdzież ten dom, jego czar: Wołam –

gdzie jesteś? Gdzież? Słyszę pustkę przygnębiającą. To tylko wieje wiatr... Jednak ciepło rodzinne tego domu za sprawą Prababci zapamiętam na zawsze. Mój dom, moja oaza, moje okno na świat umarło na zawsze, ale nie w mej pamięci i nie w mym sercu!

Ostatnie spojrzenie na okolicę, nie chcę być już tu dłużej. Głęboki wdech, wsiałam do samochodu i odjeżdżam...

Autorstwo: Radosław Wijata

Zdjęcie: [Elena Szumiłowa](#)

Źródło: [MediumPubliczne.pl](#)

OD AUTORA

Za udzielenie wszelkich informacji do powyższego artykułu (w tym do rysunków), na temat życia Prababci, jej domu i podwórka, składam szczególne podziękowania rodzicom – Grażynie i Tadeuszowi Wijata, babci Mariannie Wijata, cioci Józefie Szostak (siostra mojej babci) i cioci Janinie Kołodziejczyk (bratowa mojej babci) z Łodzi.

Przy pisaniu artykułu pomocne okazały się również dwie publikacje:

1. Czerwiński T. – „Wyposażenie domu wiejskiego w Polsce” (Ocalić od zapomnienia), Sport i Turystyka – MUZA SA, Warszawa 2009.

2. Świątek – Mazur B. (red.) – „Gmina Opoczno – wczoraj, dziś, jutro”, Hermes – Press, Opoczno 2005.

Pomocna okazała się także stała wystawa etnograficzna w Muzeum Archeologiczno-Etnograficznym w Łodzi (Plac Wolności 14) – „Szare jak ziemia, barwne jak pamięć”.

Mojej babci – Mariannie Wijata z domu Kołodziejczyk, chrzestnym ojcem był syn dziedzica. Dziś jego wnuczka (chrzestnego babci) – pani Libiszewska jest dziennikarką-pogodynką na programie Łódź 3 (wiadomość od cioci Józefy

Szostak z Łodzi).

Rodzice Prababci – Anny Kołodziejczyk z Mroczkowa Gościnnego to: Bronisława i Antoni Cabaj (wiadomość od cioci Józefy Szostak z Łodzi).

Nazwisko „Wijata” znane jest już od co najmniej 1784 roku. We wsi Ostrów (5 km od Opoczna) w owym czasie włościanami byli: Karol Wijata i Piotr Wijata (Świątek – Mazur B. (red.) – „Gmina Opoczno – wczoraj, dziś, jutro”, Hermes – Press, Opoczno 2005, s. 47).